



Ewa Stawicka

YELLOW WHISKY

Dawniej spisywano memuary. Te, które szczęśliwie przetrwały wojny, rewolucje i inne dziejowe wstrząsy, stanowią teraz skarbnicę wiedzy o ludziach, miejscach, zdarzeniach. Po upływie wielu dziesięcioleci ukazują się drukiem i stają bestsellerami. Nie sposób nie pomyśleć, ileż takich skarbów literackich i dokumentacyjnych przepada bezpowrotnie nie z tej nawet przyczyny, że papier uległ zbutwieniu, ale dlatego, że nie znalazł się nikt, kto mógłby i chciałby poświęcić fragment własnego życia na ich odcyfrowanie z rękopisu, przystosowanie do celów edytorskich, znalezienie wydawnictwa, które gotowe byłoby zaryzykować finansowo.

Autorzy wspomnień urodzeni w świecie porządkowanym dawniejszymi epokami utrwalali tylko to co było istotne, filtrując hierarchię zapamiętanych epizodów z przeszłości przez sito utkane z wartości uznawanych przez nich za obiektywne. Mimo to, ich pamiętniki są gęste od treści i roi się na ich kartach od postaci, których nazwiska są teraz odmieniane przez podręcznikowe przypadki. Zaobserwowane zdarzenia rzadko oceniali jako zrządzienia losu; najczęściej opisywali je jako elementy logicznych ciągów przyczyn oraz następstw.

W 1957 roku, odwilż popaździernikowa pozwoliła pewnemu młodemu człowiekowi przyjechać z Polski na kilka tygodni do Anglii.

Przy okazji tej wizyty spotkał się – po raz pierwszy i zarazem ostatni – z dziadkiem, dożywającym swoich sędziwych lat w brytyjskim domu spokojnej starości. Poza wspólnym nazwiskiem nie łączyło ich wiele, bo nawet naturalne ogniwo – ojciec jednego z nich, syn drugiego – zostało przedwcześnie zgaszone śmiercią w niemieckim obozie koncentracyjnym. Starszy pan wręczył wnukowi list napisany w 1913 roku, który sam niegdyś otrzymał od swojego ojca: spolszczonego potomka rosyjskiej arystokracji, doszczętnie majątkowo zrujnowanego w wyniku represji po powstaniu styczniowym, który dzięki własnej pracy i umiejętnościom na nowo zyskał wysoką pozycję oraz z powrotem wykupił utracony uprzednio, znaczny majątek na rodzinnej Litwie. W kilka lat po śmierci dziadka, jego siostra (także zamieszkała poza krajem) wręczyła bratankowi rodzinne archiwum zapakowane w ciężki kufer. Skrzynia doczekała się otwarcia, a przede wszystkim ciekawości adresata – dopiero po roku 1990. Okazało się, że oprócz innych dokumentów kryła wielotomowy pamiętnik londyńskiego emigranta, dla którego poźółkła epistoła jego papy mogła posłużyć jako prolog. Wnuk autora sam był wtedy niemłodym już człowiekiem, doświadczonym pracą inżynierską w rozmaitych rejonach świata, na koniec osiadłym w Australii. Zmarł i spoczął w Perth, w roku 2019, w niedługi czas po tym, kiedy opracowane przezeń do druku wspomnienia dziadka zostały postawione do dyspozycji polskich czytelników.

Twórca pamiętników nazywał się Mieczysław Jałowiecki. Minęło niewiele kolejnych lat i urodzony na australijskim kontynencie jego prawnuk postanowił osiedlić się w Gdańsku. Z inicjatywy pana Andrzeja Jałowieckiego, szczątki pradziadka zostały sprowadzone z Wielkiej Brytanii i w grudniu 2022 roku, uroczyste, z wojskowym ceremoniałem i z honorami czynionymi wspólnie przez władze państwowe oraz samorządowe, pochowane w nekropolii na Srebrzysku. Uczczono w ten sposób zasługi człowieka, który w 1919 roku wypatrzył i kupił dla odradzającej się Polski teren Westerplatte. Wśród osób przemawiających na pogrzebie pojawił się przedstawiciel Arkonii – korporacji akademickiej, której zmarły był członkiem; to bodaj jedyny (prócz ściśle rodzinnego, rzecz jasna) element, który jawić by się mógł jako łączący świat sprzed lat ponad stu – ze współczesnością.

A jednak, kiedy się czyta memuary (oprócz części zatytułowanej „Wolne Miasto” składają się na nie: chronologicznie wcześniejsze „Na skraju Imperium” oraz kończące tryptyk „Requiem dla ziemianstwa”), odnajduje się zadziwiająco wiele żywych związków ze zjawiskami, które i nam są dobrze znane. Charakterystyka niezmiennej mentalności narodów i wpływające z niej typowe zachowania ich przedstawicieli, niefrasobliwość politycznych elit, decy-

dużą rolę wybitnych jednostek w zwrotnych momentach dziejów – wszystko to czytelnik przyjmuje, w kolejnych dekadach XXI już wieku, bez wielkich zdziwień. Zdumienie i podziw budzi wszakże energia narratora opowieści, jego przytomność umysłu, rozległość horyzontów i umiejętność radzenia sobie z przeciwnościami.

Rozległe kontakty towarzysko-gospodarcze sprzed wojny, a także daleka wprawdzie, ale licząca się parantela z Komendantem Piłsudskim sprawiły, że Mieczysław Jałowiecki – pożegnawszy pośpiesznie rodzinny dwór w Syłgudyszkach, w którym nie zdążył zagrać na powrót miejsca po opuszczeniu dóbr przez niemieckiego okupanta, jako że wojska bolszewickie już były bliskie zajęcia tego terenu – został wyznaczony przez formujące się władze jako ich przedstawiciel do kontaktów z Amerykańską Misją Żywnościową. Zgoda na jej przybycie do Polski, wymizerowanej wskutek czteroletniej wojny i towarzyszących jej rabunków, a także epidemii grypy zwanej hiszpanką, stanowiło jeden z istotnych punktów zawieszenia broni. Był mroźny styczeń 1919 roku. Należało szybko i sprawnie zorganizować odbiór transportowanej przez ocean pomocy aprowizacyjnej i leczniczej, a także zapewnić dalszy jej przewóz do wszystkich regionów kraju. Od strony formalnej pozycja Jałowieckiego była dość słaba. Faktycznie – w czym główna zasługa jego osobistych cech, takich jak pomysłowość i zdecydowanie, a także iście żelazna kondycja fizyczna – stał się on nieocenionym reprezentantem młodej republiki w kontaktach nie tylko z Amerykanami, ale również z Niemcami. Błyskawicznie ustalono, że transportowce będą przybywać do portu w Gdańsku (status tego miasta był w tamtym momencie nieuregulowany), a stamtąd ładunki odbierane będą koleją, pokonując po drodze odcinek położony na terenie należącym do Niemiec.

Koordinowanie przewozów morskich i lądowych oznaczało nie lada wyzwanie. Pomocne okazało się doświadczenie Jałowieckiego nie tylko ściśle biznesowe, ale i ocierające się o dyplomację. Nieraz przychodziło grać *va banque* wobec nieżyczliwych ciał gospodarczych i politycznych. Niejednokrotnie trzeba także było poddawać własny organizm odporności na zimno, niewyspanie oraz potężne dawki mocnego alkoholu, których wypijanie było konieczne dla przełamywania lodów. Obarczony poważnymi obowiązkami przedstawiciel władz państwowych zżymał się, ale dla dobra sprawy nie unikał konsumowania napojów wysokowych w towarzystwie kapitanów amerykańskich statków, których tylko w taki sposób dawało się obłaskawiać w warunkach permanentnie przedłużających się przeładunków na redzie. *Mister Yellow-whisky* – tak osławiali jego rodowe miano jankescy goście.

Kiedy logistyka została z grubsza opanowana, można się było spokojniej rozejrzeć i dostrzec sposobności płynące z faktu, iż niepewni

przyszłości politycznej grodu Neptuna Niemcy wyprzedawali po niewysokich cenach okoliczne grunta. Czas nagił, ponieważ okazjnymi ofertami sprzedaży terenów znajdujących się u wylotu gdańskiego portu intensywnie interesowali się także sowieccy agenci. Rodzaj niewielkiego półwyspu położony u ujścia Martwej Wisły udało się sprawnie nabyć między innymi dzięki pomocy opowiadających się za polskością Kaszubów. Jałowiecki kupił go na własne nazwisko, lecz na rachunek i za zgodą rządu polskiego. Dookolne magazyny i inne obiekty infrastruktury pozwoliły od razu wykorzystać nowy teren na składowanie napływających z Ameryki darów, co z kolei rozładowało napięcia na redzie gdańskiego portu. Przede wszystkim jednak, pomysłodawca i wykonawca zakupu miał na względzie kwestie militarne – kto władza bowiem Westerplatte, przed tym otwiera się droga na Gdańsk.

Mieczysławowi Jałowieckiemu nie zaoferowano jakiegokolwiek znaczącej publicznej funkcji – ani po tym, gdy Gdańsk proklamowano Wolnym Miastem, ani też później, kiedy misję budowy pozycji Polski na Wybrzeżu można było uznać za zakończoną. Prawdopodobnie naraził się zbyt wielu wpływowym personom – w tym między innymi, nader krytycznie przezeń ocenianym, członkom polskiej delegacji, która poprzez Gdańsk udawała się do Rygi w celu negocjowania tam traktatu pokojowego z Sowietami. Potomek ruskich kniaziów rodem z Litwy, absolwent doskonałych rosyjskich szkół i europejskich uczelni, obeznany ze światem międzynarodowych finansów, bystrze radzący sobie w warunkach zrastania się w jeden organizm ziem dawnego Królestwa, Galicji, byłego zaboru pruskiego, Pomorza i Śląska – usunął się wtedy całkowicie od polityki i osiadł w majątku swojej drugiej żony w Kaliskiem (jego potomkowie pochodzą ze związku z pierwszą żoną).

W 1939 roku, wśród apokalipsy ponownie walącego się świata, oboje zdołali się w ostatniej chwili wydostać na Wyspy Brytyjskie. Znowu przepadł cały majątek, odzyskany i powiększony przez ojca, i z przejściem przezeń powierzany na żółtych kartach listu. Michał Jałowiecki, który list ów w 50tych latach otrzymał, tak samo jak ongiś jego pradziad, własnymi siłami doszedł do znaczącej pozycji. Strumień historii nieustannie obraca kołem. Czy są teraz tacy, którzy ukradkiem spisują swoje przeżycia i obserwacje z myślą o potomnych?